

# JAK NIE URATOWANO KOMUNIZMU W POLSCE

TOMASZ WIŚCICKI

**PAWEŁ KOWAL, *Koniec systemu władzy. Polityka ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego w latach 1986–1989*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Instytut Pamięci Narodowej, Trio, Warszawa 2011, ss. 524.**

Przystępując do lektury najnowszej książki Pawła Kowala, miałem nadzieję, że nareszcie zrozumieć, jak to się stało, że mimo tylu atutów – wojska, policji tajnych, widnych i dwupłciowych, propagandy i – szerzej – wszechstronnej, nawet jeśli niedoskonałej kontroli nad przepływem informacji, praktycznego monopolu w gospodarce itp., itd. – komunizm w Polsce i w innych krajach, nie wyłączając moskiewskiej centrali systemu, jednak upadł. Nie przekonują mnie teorie, według których wszystko było pod kontrolą. Owszem, komuniści z pewnością od pewnego momentu brali pod uwagę ewentualność oddania władzy i przygotowali się na to całkiem skutecznie, jednak gdyby mogli po prostu władzę utrzymać, to by ją utrzymali. Nikt mnie nie przekona, że oddanie władzy było dla nich korzystniejsze niż jej zachowanie.

Po lekturze książki Pawła Kowala nadal nie wiem, dlaczego komunizm upadł. To nie jest zarzut pod adresem autora, który bardzo szczegółowo i przekonująco przedstawił przebieg wypadków. Może na pytanie, jak to było możliwe, nie da się w ogóle znaleźć odpowiedzi? Obszerna praca polityka i historyka w jednej osobie potwierdza, że komuniści do ostatnich chwil istnienia swego reżimu starali się z niego zachować tyle, ile się da. A dało się coraz mniej... Kowal przekonująco uzasadnia fałszywość tezy, jakoby władza komunistyczna postanowiła dobrowolnie ustąpić.

Pokazuje coś wręcz przeciwnego: stopniowy rozkład systemu, jego zapadanie się, aż po upadek jakby pod własnym ciężarem.

Oczywiście, ekipie gen. Jaruzelskiego nie sposób odmówić tego, że rozumiała dramatycznie kurczące się granice możliwości swego działania. Kto jak kto, ale właśnie ludzie u szczytu ówczesnej hierarchii władzy najbardziej dobitnie to zawężające się pole manewru zauważali. Dlatego zagrożenie w 1989 r. buntem aparatu, podsycanie obaw z natury rzeczy niepomiernie gorzej poinformowanego przeciwnika (opozycji) itp. – było czystym blefem.

Kowal analizuje proces samozagłady komunizmu od strony aparatu władzy. Na podstawie rozmaitych źródeł odtwarza sposób myślenia ekipy gen. Jaruzelskiego, pokazuje tworzone przez nią plany i próby ich realizacji. Jego opis ukazuje stopniowe cofanie się władzy, narastającą świadomość własnej słabości. Uderzające jest jednak, że dopiero po klęsce wyborów z 4 czerwca 1989 r. rządzący dostrzegli, że ich gra o ocalenie władzy jest skończona. Wcześniej jedynie na marginesie, mimochodem pojawiały się sygnały, iż usiłująca przetrwać władza w ogóle dopuszcza myśl, że może ponieść fiasko.

Jest to uderzające w świetle tego, co wiemy o działaniach zmierzających do zabezpieczenia się przed skutkami utraty władzy – uwłaszczeniu nomenklatury

oraz działaniach służb specjalnych. Na temat samego przebiegu tych procesów, ich planów itp. wiemy wprawdzie nie za wiele, widać jednak gołym okiem ich skutki. Co więcej, badania socjologów dostarczają całkiem sporo danych na temat reprodukcji elit, potwierdzających potoczne przekonanie, że „góra” dawnego systemu nieźle poradziła sobie w nowym. Jest zupełnie nieprawdopodobne, by działało się to ot tak, przypadkiem. Podobnie to, co wiemy o działaniach służb specjalnych – wystarczy wspomnieć bardzo sprawny proces niszczenia (a zapewne i „prywatyzacji”) akt SB – pokazuje, że przynajmniej ta część aparatu daleka była od rozsypki. Również spektakularne, wręcz ostentacyjne mordy na trzech znanych z niechęci do władzy księżach w 1989 r. świadczą o tym, że także ta najbardziej mroczna część ubeckiego aparatu nie zatraciła zdolności do działania.

Płyną stąd dwa wnioski. Po pierwsze – że nawet zachowane w niezłym stanie aktywa MSW nie wystarczyły, by ocalić system. Także ubecki aparat podlegał ogólnej prawidłowości, że sama zdolność do działania to nie wszystko. Komunizm w Polsce doszedł do takiego stanu, że teoretycznie mógł jeszcze działać, ale się nie dało. Ten proces pokazuje Paweł Kowal bardzo trafnie.

Po drugie – widać, że istniał i był wcielany w życie „plan B” – rezerwowi: na wypadek, gdyby desperackie próby uratowania władzy jednak się nie powiodły. O tych działaniach z omawianej książki wiele się nie dowiemy. Czy to zarzut? I tak, i nie. Nie, bo nie ma pracy tak wyczerpującej, by recenzent nie był w stanie jej zniszczyć zarzutem, że czegoś w niej zabrakło. Ponadto z praktycznego milczenia Kowala na temat „planu B” można wywnioskować, że w źródłach, z których korzystał, przede wszystkim proweniencji partyjnej i administracyjnej, niewiele albo nic na ten temat nie było. Jeśli ten wniosek jest trafny, można by – z całą ostrożnością, z jaką należy traktować wnioski z braku źródeł – postawić hipotezę, że odbywało się to innymi kanałami, zapewne głównie za pośrednictwem służb.

Można jednak to milczenie potraktować jako pewną wadę omawianej książki. Gdyby bowiem ściśle

trzymać się jej treści, można by wywnioskować, że komuniści w ogóle nie brali pod uwagę ewentualności utraty władzy i przejrzeni na oczy dopiero 5 czerwca 1989 r. Tymczasem upadek komunizmu był stanowczo zbyt gładki, by uwierzyć w tę wersję. Kowal zresztą niekiedy napomyka, że brano to pod uwagę, pozostaje jednak wrażenie, że widzimy tylko jedną stronę, niczym awers bez rewersu. Owszem, awers jest ważny, bogaty, obszerny i dobrze przez autora opisany, ale nie jest całym medalem.

Wiąże się z tym jeden, już tym razem niewątpliwy moim zdaniem, brak omawianej pracy. Paweł Kowal nie zadaje mianowicie pytania, kiedy i w jakich okolicznościach rządząca ekipa dopuściła w ogóle myśl o utracie władzy jako o realnym wariacie rozwoju wypadków, nawet jeśli niezbyt prawdopodobnym. W poprzednich „polskich miesiącach”, mimo wszystkich kryzysów, załamań, zmiany ekip, niezadowolonych społecznego itd., perspektywa upadku komunizmu nie była brana pod uwagę. Wciąż w mocy pozostawało przekonanie wypowiedziane wprost przez Władysława Gomułkę w sławnej moskiewskiej rozmowie ze Stanisławem Mikołajczykiem: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”. Wierzyli w to rządzący, wierzyli i rządzili, co tworzyło najskuteczniejszą być może legitymizację komunistycznego panowania nad Polską, którą Jadwiga Staniszkis nazwała legitymizacją przez bezalternatywność.

Kiedy to przekonanie zaczęło pękać? Niewątpliwym dla niej ciosem była Solidarność, a może już pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II. Jednak stan wojenny wydawał się skuteczną odtrutką na te niebezpieczne z punktu widzenia władzy gry wyobraźni. Paradoksalnie, im większe nadzieje, że da się z tego jakoś wyjść, tym bardziej bolesny powrót do rzeczywistości: skoro zorganizowany antykomunistyczny bunt arytmetycznej większości dorosłego społeczeństwa da się tak łatwo spacyfikować – to znikąd ratunku.

A jednak okazało się, że to tylko pozory. Na to, kiedy zaczęło się to przebijać do świadomości ekipy Jaruzelskiego, Paweł Kowal nie tylko nie odpowiada, ale nawet o to nie pyta. Moim zdaniem to pytanie kluczowe. Wszystko wskazuje na to, że przełom

nastąpił wówczas, gdy Michaił Gorbaczow najpierw dał do zrozumienia, a potem już jaśniej wskazał, że Związek Sowiecki nie będzie interweniował zbrojnie w obronie władzy komunistycznej w Polsce. Ta hipoteza nie tylko efektownie brzmi – władza zainstalowana dzięki sowieckiej przemocy upada, gdy jej mocodawca odmówił jej podtrzymywania siłą – ale też wydaje się prawdziwa. Nieprzypadkowo gorączkowe próby reformy pojawiają się właśnie za rządów Gorbaczowa. Kowal o tym napomyka, ale wspomnianego problemu wprost nie podejmuje.

Pisze natomiast wiele o samych działaniach ekipy Jaruzelskiego. Z kart książki wyłania się obraz grupy właściwie zupełnie już bezideowej, skupionej na samej władzy. Owszem, komunistyczna nowomowa jest wciąż w użyciu, jednak sprawia wrażenie rytuału, pustej liturgii nie tylko bez Boga, ale i bez dotychczasowych bożków. A jeszcze na przełomie lat 1984 i 1985, gdy niemal ci sami ludzie omawiali „kryzys”, jaki powstał po zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki, ze stenogramów posiedzeń Politbiura PZPR wyłaniał się obraz dziwnie schizofreniczny, w którym zimnej technologii władzy towarzyszą nostalgiczne westchnienia za pomysłami znanymi ze starych, dobrych, stalinowskich czasów. Po kilku latach tej nostalgii, przynajmniej na szczytach władzy, prawie nie widać. Być może jedynym ideowym przekonaniem, które pozostało gen. Jaruzelskiemu aż do końca jego politycznej kariery, było przeświadczenie o fatalnych następstwach, jakie miało przynieść Polsce i Europie zjednoczenie Niemiec.

Autor, odwołując się do klasycznych definicji totalitaryzmu i badań historyków, przekonująco wykazuje, że władza w PRL niemal do końca zachowała charakter totalitarny. Cytuje Krystynę Kersten, która wywodziła, że choć totalitaryzm peerelowski nigdy nie był „doskonały”, to jednak do końca nie zmienił swej istoty. Kowal trafnie uznaje, że dopiero w 1988 r., począwszy od wiosennych strajków, system zaczął powoli przekształcać się w autorytarny, ale nie zdążył dokończyć tej ewolucji, bo wcześniej upadł.

Wyjątkowo dużo miejsca poświęca Paweł Kowal opisom relacji ówczesnej władzy z instytucjonalnym

Kościółem – papieżem i biskupami. Pragmatyzm podpowiadał rządzącym, że poparcie, a przynajmniej przyjazna neutralność z ich strony jest warunkiem efektywnego sprawowania władzy. Jak pisze Kowal, „Kościół miał być arbitralnie obsadzony przez władze w roli ich jedyne go partnera. Zasady i granice tej współpracy w zależności od potrzeb miały określać Jaruzelski. Celem tej operacji było niedopuszczenie, by miejsce dotychczasowego partnera politycznego ekipy Jaruzelskiego zajęła opozycja skupiona wokół Wałęsy”. Jednym z pierwszych rozmówców nowo mianowanego premiera Mieczysława Rakowskiego był... prymas Józef Glemp, u którego zabiegał o wejście do rządu przedstawicieli umiarkowanej opozycji. Oczywiście niczego nie osiągnął.

Towarzyszy temu zadziwiająco nieraz niezrozumienie przeciwnika, z którego chce się uczynić sojusznika. Przykładem były próby dyktowania papieżowi przez gen. Jaruzelskiego treści publicznych wystąpień podczas pielgrzymki w 1987 r., np. żeby wspomniał o radzieckich i polskich żołnierzach wyzwalających ziemie zachodnie... Jan Paweł II uprzejmie, acz stanowczo odmówił. Jeszcze bardziej groteskowe w swej bezczelności wrażenie sprawia ekspedycja na Jasną Górę Kazimierza Barcikowskiego i Stanisława Cioska, którzy – nie mogąc dostać się do Jana Pawła II – wobec kard. Casarolego skrytykowali wygłoszone już papieskie przemówienia, które ich zdaniem miały prowokować zamieszki i stawiać Polskę w złym świetle.

Nie wszystkie działania wobec Kościoła były tak groteskowe. Jednak plan „historycznego kompromisu” z Kościołem, który miał wzmocnić władzę i zneutralizować opozycję, opierał się na zasadniczym nieporozumieniu. Rządzący PRL nie rozumieli najwyraźniej, że Kościół ma długą tradycję taktycznego układania się ze źle ocenianą, ale realną władzą. Nie musi wynikać z takiego paktowania żaden trwały sojusz – zwłaszcza gdy znika jego podstawowy powód, tzn. władza słabnie. Stąd nieprzyjemne zdziwienie ekipy Jaruzelskiego, gdy przed wyborami 1989 r. Solidarność wsparli nawet ci hierarchowie, którzy wcześniej nie angażowali się po stronie opozycji,

a nawet czynili pewne gesty pod adresem władz, jak biskupi Jerzy Ablewicz i Kazimierz Majdański.

Niewątpliwym sojusznikiem władzy wśród biskupów był natomiast zastępca sekretarza Episkopatu bp Jerzy Dąbrowski. Paweł Kowal pisze elegancko: „Poufatałość biskupa Dąbrowskiego w relacjach z Wiesławem Górnikiem oraz Edwardem Kotowskim [funkcjonariusz SB, oficjalnie – dyplomata i urzędnik, postać bardzo ważna, a zupełnie nieznaną, odegrał ogromną rolę w stosunkach z Kościołem w schyłkowej PRL – T.W.] i brak powściągliwości w rozmowach powodowały, że był jednym z najważniejszych źródeł informacji o sytuacji wewnętrznej w Episkopacie – zbyt często wydawali się agenci i donosiciele”. A informował swych rozmówców m.in. o strategii negocjacyjnej swego przełożonego, sekretarza Episkopatu abp. Bronisława Dąbrowskiego...

Końcem złudzeń ekipy gen. Jaruzelskiego były kontraktowe wybory. Aparat komunistyczny okazał się zupełnie nieudolny w zabieganiu o poparcie w choćby częściowo wolnych wyborach. Jeszcze większym paradoksem było to, że totalitarna władza przegrała z opozycją, bo – w przeciwieństwie do niej – nie potrafiła już działać w sposób zjednoczony i skoordynowany.

W pracy Pawła Kowala znać, że jej autor jest czynnym politykiem i mechanizmy polityki zna z autopsji, a nie tylko z prac historycznych i politologicznych.

I choć polityka demokratyczna i polityka schyłkowego totalitaryzmu wyglądają zupełnie inaczej, to jednak np. procesy podejmowania (albo niepodejmowania...) decyzji nie są aż tak odmienne. Rękę i oko polityka znać np. w bardzo wnikliwym opisie grup decyzyjnych i kręgów wtajemniczenia wokół gen. Jaruzelskiego.

Wśród wykorzystanych przez autora źródeł na uwagę zasługują – prócz bogatej bazy dokumentów oraz prasy i wspomnień – także liczne zebrane relacje osób z różnych stron ówczesnej barykady, ale też dzieła literackie. Książka wiele zawdzięcza starannemu wykorzystaniu notatek Wiesława Górnickiego – polityka, pułkownika i publicysty w jednej osobie, ważnej postaci w kręgu Jaruzelskiego.

Książka ma aż trzech wydawców, skądinąd wielce zasłużonych: Instytut Studiów Politycznych PAN, Instytut Pamięci Narodowej i oficynę Trio. Być może ta edytorska trójwładza odegrała rolę przysłowiowych sześciu kucharek: w uważnej lekturze (a inna nie ma sensu) przeszkadza ponadprzeciętna liczba redakcyjnych niedoróbek, literówek, pomylnych imion itp. Warto jednak z pewnością przebrnąć przez te nieliczne w sumie słabości, by poznać od mało znanej strony niezwykle okres naszej historii – kiedy komuniści, usiłując uratować swą władzę, musieli w końcu uznać bezowocność swych wysiłków. Ciąg dalszy, nie mniej pasjonujący, (chyba?) wciąż nie jest jeszcze historią.